

ESHKOL NEVO

# Do następnych mistrzostw

przełożył z angielskiego  
Wojciech Górnaś

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA

Tytuł angielski: *World Cup Wishes*  
Projekt okładki: *Tadeusz Kazubek*  
Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*  
Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*  
Korekta: *Katarzyna Szajowska*

Książka ukazuje się pod honorowym patronatem  
Jego Ekszelencji Ambasadora Izraela w Polsce Pana Zvi Rav-Nera.



© by Eshkol Nevo

Published by arrangement with The Institute  
for the translation of Hebrew Literature. All rights reserved  
© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2012  
© for the Polish translation by Wojciech Górnaś

ISBN 978-83-7495-593-5

Warszawskie Wydawnictwo Literackie  
MUZA SA  
Warszawa 2012

## 1

To był pomysł Amichaja. To jemu zawsze przychodziły do głowy takie rzeczy, chociaż dyżurnym facetem od pomysłów był w naszej paczce Ofir, tyle że Ofir marnował całą inwencję na pisanie haseł reklamowych krakersów i banków, więc kiedy się spotykaliśmy, to korzystał z okazji, żeby побыć małomównym nudziarzem. Odzywał się półsłówkami i tylko jak sobie czasem za dużo wypił, ścisnął nas i mówił: jakie to szczęście, że mamy siebie, nie macie pojęcia, jakie to szczęście. Za to Amichaj sprzedawał ludziom chorym na serce abonament na Telemed i chociaż zdarzało mu się przy tym usłyszeć wspaniałe historie, zwłaszcza od ocalałych z Holocaustu, to raczej nie można powiedzieć, żeby ta praca dawała mu radość czy satysfakcję. Co kilka miesięcy ogłaszał, że rzuca Telemed i idzie na kurs shiatsu, ale coś mu zawsze przeszkodziło. Dali mu podwyżkę. Innym razem samochód służbowy. Potem ożenił się z Ilaną Płaczką. Potem urodziły mu się bliźniaki. Dlatego cała radość życia, która w nim buzowała, a której nie mógł uwolnić ani podczas rozmów z chorymi na serce starszami, ani w łóżku z Ilaną, wybuchała na spotkaniach z nami, z trójką jego najlepszych przyjaciół, przybierając formę różnych świetnych pomysłów: a to żeby pojechać nad Jezioro Tyberiadzkie i uczcić dziesiątą rocznicę naszego wypadu do tamtejszego aquaparku Luna Gal, a to żeby zgłosić się do konkursu

karaoke i opracować wersję a cappella piosenki Beatlesów. „Czemu Beatlesów?”, spytał Churchill, i to takim tonem, że od razu było wiadomo, co z tego wyjdzie. „A dlaczego nie? Nas też jest czterech”, odpowiedział Amichaj, chociaż słycać było po jego głosie, że rozumiał: ten pomysł nie przejdzie, jak i wszystkie poprzednie. Kiedy Churchill nie poparł jakiejś inicjatywy, raczej nie miała ona szans. A kiedy chciał kogoś zmiażdżyć, robił to tak łatwo i skutecznie, że zaczynałeś współczuć prawnikom, którzy musieli mu stawiać czoło w sądzie. To właśnie Churchill założył w szkole naszą bandę. Nawet nie to, że „założył”, właściwie raczej my skupiliśmy się wokół niego, jak zbłąkane owieczki. Każda mina na jego szerokiej twarzy, każda rozwiązana sznurówka w tenisówkach, nawet sposób chodzenia – z tego wszystkiego było przekonanie o własnej wartości. Widać było, że Churchill ma jakiś wewnętrzny kompas. Wszyscy w tamtych czasach udawaliśmy pewnych siebie, ale on jako jedyny nie musiał. Dziewczyny aż przebierały nogami, kiedy przechodził, mimo że nie miał urody amanta; wybraliśmy go zgodnie na kapitana klasowej drużyny piłkarskiej, chociaż byli lepsi zawodnicy. Właśnie przy okazji gry w piłkę powstało jego przewisko. Przed półfinałem szkolnych mistrzostw, w którym graliśmy przeciwko starszej klasie, zebrał nas i wygłosił przemówienie, żeby nas zagrzać do walki: że mamy przelać krew, pot i łzy. Kiedy skończył, prawie płakaliśmy. W czasie meczu daliśmy z siebie wszystko, walczyliśmy do upadłego, przewracaliśmy się na asfalt, a i tak przegraliśmy trzy zero z powodu błędów, które zrobił sam Churchill: raz kopnął piłkę do napastnika przeciwnej drużyny, raz nie udało mu się przyjąć podania na środku boiska, a w końcu, jakby tego było mało, strzelił genialnego samobója – próbował podać piłkę do naszego obrońcy, a kopnął ją prosto do bramki, na której stałem.

Po meczu nikt się na niego nie złościł. Jak można było złościć się na kogoś, kto zaraz po ostatnim gwizdku zebrał wszystkich pośrodku boiska i ze spuszczonego wzrokiem powiedział, że sam jest wszystkim winien? Jak można się było gniewać na gościa, który – żeby nam to wynagrodzić – zabrał całą drużynę na mecz Makabi Hajfa, a wszyscy wiedzieli, że płaci z własnej kieszeni, bo jego rodzice nie mają kasy? Jak można było się wściekać na kogoś, kto wkłada całe serce i duszę w pisanie życzeń urodzinowych, kto potrafi tak uważnie słuchać, kto jedzie aż na pustynię Negew, żeby cię odwiedzić podczas obozu z przysposobienia obronnego, kto pozwala ci mieszkać u siebie przez trzy miesiące, póki nie znajdziesz mieszkania w Tel Awiwie, i upiera się, że masz spać w jego łóżku, a on będzie spał na wersalce?

Nawet po tej historii z Ja'arą nie potrafiłem się na niego gniewać. Wszyscy byli przekonani, że się wścieknę, że dostanę furii. Amichaj zadzwonił do mnie, jak tylko się dowiedział.

– Churchill spieprzył sprawę, ale mam pomysł. Chodźmy zagrać w paintball i we trzech upieprzymy go całego farbą. Damy mu popalić. Już z nim rozmawiałem i się zgadza. Wchodzisz w to?

Ofir wyszedł ze spotkania w sprawie kampanii reklamowej trzywarstwowego papieru toaletowego, tylko po to, żeby mi powiedzieć:

– Stary, jestem z tobą. Masz pełne prawo się wpienić, ale błagam, nie rób nic, czego byś potem żałował. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to szczęście, że mamy siebie nawzajem.

Prawda jest taka, że nawet by nie musieli prosić. I tak nie potrafiłem wzbudzić w sobie gniewu. Jednego wieczora wręcz pojechałem do Churchilla, bo myślałem, że dramatyzm takiej sytuacji rozpali we mnie ogień, przez całą drogę powtarzałem „dupek, co za dupek”, ale kiedy już dotarłem pod jego dom, wcale nie miałem

ochoty wchodzić na górę. Może gdybym zobaczył jego sylwetkę w oknie mieszkania, to ręce same zacisnęłyby mi się w pięści. A ja tylko siedziałem w samochodzie, na przemian spryskiwałem przednią szybę i włączałem wycieraczki, póki pierwszy długi promień słońca nie padł na kolektor do ogrzewania wody w zbiorniku na dachu. Wtedy odjechałem. Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym uderzyć Churchilla. Mimo że sobie na to zasłużył. Mimo że kiedy podczas ostatniego Pucharu Świata spisaliśmy wspólnie nasze życzenia, to moje – wszystkie trzy – miały związek z Ja'arą.

Te życzenia to był pomysł Amichaja.

Kiedy Emmanuel Petit strzelił trzecią bramkę i stało się jasne, że to Francja zdobędzie puchar, a w powietrzu zawisło rozczarowanie, bo wszyscy kibicowaliśmy Brazylii; kiedy zjedliśmy wszystkie upieczone przez Ilanę burekasy o smaku jej łez, rozbiliśmy wszystkie orzechy, a na stole została już tylko jedna cząstka melona i jeden kawałek fety, po które każdy się krępował sięgnąć, wtedy Ofir powiedział:

– Wiecie co? Właśnie sobie uświadomiłem, że to piąte mistrzostwa, które razem oglądamy.

A Churchill na to:

– Coś źle liczysz, najwyżej czwarte.

Więc zaczęliśmy liczyć wspólnie:

Meksyk 86 – oglądaliśmy go razem w domu ojca Ofira w Tiwonie. I gdy biedna, naiwna Dania przegrała pięć jeden z Hiszpanią, Ofir się całkiem popłakał, a jego ojciec powiedział, że tak to jest, jak chłopaka wychowuje matka. Finał mistrzostw w 1990 oglądaliśmy rozsiani po różnych miejscach, ale na półfinał spotkaliśmy się wszyscy u Amichaja. Nikt z nas nie pamięta, kto z kim grał, bo

jego młodsza siostra cały czas chodziła po domu w kusej czerwonej koszulce nocnej, a nam, żołnierzom, jakoś nie wychodziło patrzenie w ekran telewizora. W 1994 byliśmy studentami i telawiwczykami. Pierwszy do wielkiego miasta przeprowadził się Churchill, a my za nim, bo chcieliśmy być razem, no i Churchill powiedział, że to jedyne miejsce, gdzie można być tym, kim się chce.

– Ale przecież mistrzostwa w dziewięćdziesiątym czwartym oglądaliśmy w szpitalu Rambam w Hajfie – przypomniał sobie Ofir.

– No tak – potwierdziłem.

W środku lata, w domu u rodziców, miałem najgorszy atak astmy w życiu. Podczas szalonej i histerycznej jazdy do szpitala chwilami byłem pewien, że umieram. Kiedy już mnie naszpikowali kropłówkami i zastrzykami i założyli mi maskę tlenową, lekarze powiedzieli, że mam przez kilka dni zostać na obserwacji.

Nazajutrz był finał. Włochy z Brazylią. Churchill w tajemnicy przede mną zebrał chłopaków, wsadził ich do swojego poobijanego garbusa, po drodze wstąpili do naleśnikarni w Kfar Witkin, żeby kupić moją ulubioną brzoskwiniovą mrożoną herbatę i kilka butelek wódki, bo wtedy pozowaliśmy na jej wielkich amatorów, i dziesięć minut przed pierwszym gwizdkiem wparowali do sali, na której leżałem (przekupili ciecia butelką keglevicha, kiedy nie chciał ich wpuścić, bo było już po godzinach odwiedzin). Omal nie dostałem następnego ataku, jak ich zobaczyłem. Ale udało mi się uspokoić, wziąłem kilka głębokich wdechów z przepony, a potem na telewizorku wiszącym pod sufitem obejrzelśmy, jak Brazylia zdobywa puchar świata po stu dwudziestu minutach plus karne.

– No a teraz mamy dziewięćdziesiąty ósmy – podsumował Churchill. – Razem cztery Puchary Świata.

– Całe szczęście, że się nie zakładałem – powiedział Ofir.

– Największe szczęście, to że w ogóle jest Puchar Świata – dodałem.  
– Bo dzięki temu czas nie jest monolitem, tylko dzieli się na kawałki: co cztery lata możemy się zatrzymać i zobaczyć, co się zmieniło.

– Niesamowite – stwierdził Churchill. Zawsze pierwszy rozumiał, o co mi chodzi, kiedy wyskakiwałem z takimi dywagacjami. Czasem tylko on jeden.

– A wiecie, dlaczego jeszcze mamy szczęście? Bo mamy siebie – rzekł Ofir.

– Nawet nie mamy pojęcia, jakie to szczęście – dokończyliśmy jego powiedzonko.

– Człowieku, nie wiem, w jaki sposób taka cipa jak ty może przeżyć z tymi wszystkimi facetami od reklamy – stwierdził Churchill, a Ofir się roześmiał:

– Tak to jest, jak chłopaka wychowuje matka.

A na to Amichaj:

– Mam pomysł.

– Poczekaj, na razie obejrzymy, jak podnoszą puchar – przerwał mu Churchill w nadziei, że jak już ceremonia się skończy, to Amichaj nie będzie pamiętał, co chciał powiedzieć.

Ale Amichaj nie zapomniał.

Czy wiedział, że to, co zaproponuje, stanie się prawdziwym proctwem, które będzie nas prześladowało przez najbliższe cztery lata i – co najdziwniejsze – nie straci swej mocy?

Pewnie nie. Pod maską miłego i uległego człowieka krył się uparciuch. Jego determinacja kazała mu godzinami słuchać klientów, którym chciał sprzedać Telemed, dzięki niej umiał układać na balkonie puzzle z tysięcy kawałków i biegać dziesięć kilometrów dziennie. Bez względu na pogodę. Przypuszczam, że to przede wszystkim determinacja kazała mu odczekać, aż Didier Deschamps wzniesie nad głowę puchar i tłum zafaluje.

– Pomyślałem – dokończył Amichaj – że każdy z nas powinien napisać na karteczce, gdzie chciałby być za cztery lata. W sensie prywatnym, zawodowym, każdym. Przy następnym finale wyciągniemy karteczki i porównamy je z rzeczywistością.

– Fenomenalny pomysł! – zawołała z kuchni Ilana Płaczka.

Wszyscy spojrzeli w jej stronę. Przez te wszystkie lata, kiedy ją znaliśmy, nikt nigdy nie widział, żeby cokolwiek ją tak podekscytowało. Zawsze miała ten sam mdły wyraz twarzy (nawet na swoim ślubie; to dlatego na wideo z wesela jest tak dużo Amichaja tańczącego swój ulubiony taniec – który polega na klepaniu się po brzuchu – a tak mało jej) i zwykle kiedy byliśmy u Amichaja, po kilku minutach się od nas odłączała i zaszywała gdzieś w kącie z książką. Prawie zawsze była to jakaś praca z psychologii, coś o współzależnościach między depresją i lękiem. Przyzwyczailiśmy się do tej nienachalnej obecności Ilany i do jej chłodu w stosunku do Amichaja – a tu nagle taki entuzjazm?

Wychynęła ze swojej kryjówki i podeszła do nas.

– Właśnie czytam pracę amerykańskiego psychologa, który twierdzi, że właściwe zdefiniowanie celu to połowa sukcesu. Następne mistrzostwa są za cztery lata, tak? Czyli będziecie mieli po trzydzieści dwa. To dokładnie wiek gipsowy.

– Wiek gipsowy?

– Pojęcie, którego używa ten psycholog. Czas, kiedy osobowość twardej i zachowuje nadaną jej formę, jak gips.

Odczekała chwilę, żeby zobaczyć, jaki efekt wywarły jej słowa, po czym zawiedziona odwróciła się i wróciła do swojej kryjówki.

Amichaj zerknął na nas. Nie mogliśmy mu sprawić zawodu, skoro już raz udało się wzbudzić entuzjazm Ilany. Nie mogliśmy ostatecznie pogrzebać jego nadziei na to, że kiedyś w końcu ją uszczęśliwi.

- Dobra, przynieś papier – powiedziałem.
  - Ale ustalmy jakieś zasady – zarządził Churchill. – Każdy pisze trzy rzeczy. Trzy krótkie zdania. Inaczej będziemy pisać bez końca.
- Amichaj podał nam trzy grube książki psychologiczne jako podkładki, do tego kartki i długopisy.

Nie miałem trudności z pierwszym życzeniem. Pojawiło się gotowe w mojej głowie, w momencie kiedy Amichaj wyskoczył ze swoim pomysłem.

1. *Podczas następných mistrzostw chcę dalej być z Ja'arą.*

Ale po pierwszym punkcie utknąłem. Próbowałem wyobrazić sobie, czego jeszcze mógłbym chcieć. Usiłowałem nadać marzeniom szerszą perspektywę, ale moje myśli wciąż wracały do Ja'ary, jej karmelowych włosów, delikatnych, smukłych ramion, jej zielonych oczu w obwódkach okularów; gdy je zdejmuje, to wiem, że zaraz będziemy...

Poznaliśmy się dwa miesiące wcześniej w kawiarni na wydziale nauk społecznych. Przyszła na początku przerwy obiadowej z dwoma chłopakami, niosła wielką tacę z małą butelką soku grejpfrutowego. Trzymała się prosto, szła sprężystym krokiem, w rytm którego kołysały się jej karmelowe włosy związane w kucyk, jak gdyby się spieszyła, by być już w innym miejscu; ci dwaj zaś człapali za nią ciężko w stronę stolika. Nie mogła sobie poradzić z otwarciem soku, ale nie poprosiła o pomoc. Rozmawiali o przedstawieniu, na którym byli poprzedniego wieczora. A raczej ona mówiła, bardzo szybko, a oni na nią patrzyli. Dowodziła, że sztuka byłaby dużo lepsza, gdyby reżyser wykazał odrobinę więcej inwencji.

- Na przykład scenografia – rzekła i pociągnęła łyk soku. – Cemu w tym kraju scenografia zawsze wygląda tak samo? Nie mogliby wymyślić czegoś oryginalniejszego niż stół, stojący wieszak i fotel z targu staroci?

Potem mówiła o muzyce i o tym, że reżyser mógłby wydobyć z aktorów o wiele więcej, gdyby naprawdę żył swoją pracą i ją kochał. Dobitnie zaakcentowała obie sylaby w „kochał” i położyła dłoń na bluzce.

- Taaak – zgodził się ten siedzący naprzeciwko niej, ale nie odrywał wzroku od jej bluzki.

- Masz absolutną rację, Ja'ara – dodał drugi.

Potem obaj wstali i poszli na zajęcia, a ona została sama przy stoliku i nagle, przez ułamek sekundy, wydała się mała i samotna. Wyjęła z torby jakieś notatki, małym palcem poprawiła okulary, skrzyżowała nogi i zatopiła się w lekturze. Przed przewróceniem strony lekko dotykała palcem do języka, a ja patrzyłem na nią i myślałem sobie, że to niewiarygodne, jak seksowny może być taki gest, gest bibliotekarki, w wykonaniu odpowiedniej dziewczyny. I zastanawiałem się, jak wygląda ta poważna buzia, gdy jej właścicielka wybucha śmiechem. I czy ma dołeczki w policzkach. I myślałem, że nigdy się nie dowiem, bo nie starczy mi tupetu, żeby zacząć rozmowę.

- Ej – odezwała się, podniósłszy wzrok znad kartek – wiesz może, co to znaczy *revelation*?

Każda ułomność ma swój moment chwały. Nie inaczej było na przykład z moim daltonizmem. Mimo wstydu, którego dość się najadłem przez całe życie (– Dzieci, widzicie jasne anemony? Kto powiedział „nie”?), to właśnie ta przypadłość wybawiła mnie w odpowiednim momencie, kiedy oficer na komisji poborowej próbował zrobić ze mnie zwiadowcę.

Ta sama zasada sprawdziła się, gdy Ja'ara zadała mi pytanie. Lata surowego anglosaskiego wychowania, hektolitry herbaty z mlekiem, przewlekła emocjonalna obstrukcja, poczucie wyobcowania wpojone mi przez rodziców, którzy tu, w Lewancie, nigdy nie przestali się czuć przybyszami i jeszcze trzydzieści lat po przyjeździe z Brighton do Hajfy mówili mieszanką hebrajskiego i angielskiego...

W owej chwili to wszystko zadziało na moją korzyść.

Tonem eksperta objaśniłem, że *revelation* to wyjawienie lub ujawnienie czegoś, a gdy najwyraźniej usatysfakcjonowana moją odpowiedzią miała już wrócić do lektury, szybko dodałem, że może to też być objawienie. Zależnie od kontekstu.

Przeczytała mi całe zdanie. Potem jeszcze jedno, z którym też miała kłopot. Więc dałem jej swój numer, gdyby jeszcze potrzebowała pomocy. I – rzecz niebywała – zadzwoniła do mnie tego samego wieczora, i rozmawialiśmy o różnych sprawach, a rozmowa płynęła jak wino, a potem zaczęliśmy się spotykać, całowaliśmy się, kochaliśmy i kładła głowę na moim brzuchu, gdy leżeliśmy na trawie przed Akademią Muzyczną, i wystukiwała rytm na moim biodrze, gdy przez otwarte okno sali prób dobiegały nas dźwięki fortepianu, i kupiła mi turkusową koszulę, bo „wystarczy już tej czerni”, i wciąż usiłowałem rozgryźć, jak to możliwe, że taka dziewczyna, która przeczy Churchillowej teorii trzech czwartych („Nie istnieje dziewczyna, która byłaby ładna, inteligentna, napalona i wolna. Zawsze brakuje jednej cechy”) – że taka dziewczyna wybrała sobie akurat mnie. Co prawda parę miesięcy przed naszym spotkaniem zerwała z jednym gitarzystą, który przez pięć lat w kółko ją zdradzał, a potem błagał, żeby do niego wróciła, no ale po uniwersytecie szwendało się dość facetów wyższych ode mnie i gotowych ukoić jej udręczone serce. Zresztą ta cała historia o zdradzającym gitarzyście nie trzymała się kupy. Kto by chciał zdradzać taką

dziewczynę jak Ja'ara? Jak można było chcieć czegokolwiek innego niż tylko jej – więcej i więcej?

Amichaj pospieszał mnie, żebym kończył. Wszyscy pozostali odłożyli już długopisy.

Spojrzałem na swoje pierwsze zdanie i pod wpływem impulsu dopisałem:

2. *Podczas następných mistrzostw chcę być mężem Ja'ary.*

3. *Podczas następných mistrzostw chcę mieć z Ja'arą dziecko, najchętniej dziewczynkę.*

– Teraz oddajcie mi swoje karteczki – powiedział Amichaj – a ja włożę je do pudełka i przechowam do następných mistrzostw.

– Czemu ty? – sprzeciwił się Ofir.

– Bo jestem najbardziej usatkwany.

– Znaczy jak to usatkwany? – najeżył się Ofir.

– Amichaj ma rację – wtrącił się Churchill, żeby załagodzić sprawę. – Ma żonę, mieszkanie, bliźniaki. Pozostali pewnie z dziesięć razy się przeprowadzą przed następnymi mistrzostwami, a przecież takie rzeczy bardzo lubią się gubić przy pakowaniu.

– Okay – zgodził się Ofir – ale najpierw przeczytajmy je na głos.

– Mowy nie ma! – zawołał Amichaj. – To zepsuje całą niespodziankę.

– Walić niespodziankę – odparował Ofir. – Chcę wiedzieć, co napisaliście. Inaczej nie dam wam swojej.

– Odroczona gratyfikacja to nie twoja bajka, co? – dogryzł mu Amichaj, a potem dodał pojednawczo: – Tak to jest, jak chłopaka wychowuje matka.

– A znasz bajkę o odroczonej gratyfikacji? – Ofir na to. – Był sobie człowiek, który odraczał gratyfikację. Odraczał, odraczał, odraczał i umarł.

– Mam pomysł – wtrącił się Churchill, żeby sprzeczka Ofira z Amichajem nie zdążyła przerodzić się w jedną z ich kłótni: niespodziewanych, bezsensownych awantur, podczas których niespodziewanie pokazywali bardzo nieprzyjemne strony swego charakteru. – Niech każdy przeczyta tylko jedno z trzech życzeń. Będzie i element niespodzianki, i uchylenie rąbka tajemnicy, które rozbudzi apetyt na dalszy ciąg. To chyba technika, którą stosujecie w reklamie, co, Ofir?

– Tak, nazywa się teaser – uściślił Ofir i zasepił się jak zawsze, kiedy wypływał temat jego pracy.

– To ja pierwszy. – Amichaj rozłożył swoją karteczkę. – „Podczas następnych mistrzostw będę miał własny gabinet medycyny alternatywnej”.

– Amen! – zaintonował Churchill, wyrażając to samo, co wszyscy sobie pomyśleliśmy. Gdyby życzenie się spełniło, może Amichaj przestałby wreszcie w kółko o tym gadać.

Następny był Ofir.

– „Podczas następnych mistrzostw nie będę już pracował w reklamie, tylko będę miał na koncie wydany zbiór opowiadań”.

– Opowiadań? – spytałem zdziwiony. – A mówiłeś, że chcesz nakręcić o nas film.

– No tak – przyznał Ofir – ale cały pomysł opierał się na tym, że jeden z nas ginie podczas służby wojskowej. A ty obiecałeś, że jeśli żadnemu z nas się to nie przytrafi, to...

– Jeśli jeszcze jest taka możliwość, mogę w każdej chwili umrzeć – zaproponowałem (i w tej samej chwili przeszedł mnie dreszczyk, jak zawsze, gdy rozważałem coś takiego).

– Spokojnie, nie ma potrzeby – odrzekł Ofir. – Ostatnio bardziej mnie kręca opowiadania. Mam kupę pomysłów, ale jak wracam z pracy o jedenastej, to nie mam siły włączyć komputera.

– No to, *jalla*<sup>\*</sup>, bierz się do roboty – zachęciłem go. – Do następnych mistrzostw zostały cztery lata. W razie czego tłumacza na angielski już masz.

– Dzięki. – Ofir poklepał mnie po plecach i oczy mu się zaszkliły. – Nie masz pojęcia, jakie to szczęście...

Churchill szybko rozłożył swoją kartkę, żeby Ofir nie zdążył się rozkleić.

– „Podczas następnych mistrzostw – zaczął bardzo poważnym tonem – chcę mieć zaliczonych przynajmniej dwieście osiem dziewczyn”.

– Dokładnie dwieście osiem? – roześmiał się Amichaj. – Czemu nie dwieście dwadzieścia dwie? Albo bliżej trzystu?

– Policz sobie – wyjaśnił Churchill. – Cztery lata, pięćdziesiąt dwa tygodnie w roku, jedna dziewczyna tygodniowo, razem dwieście osiem. Żartuję. Naprawdę myślicie, że marnowałbym życzenie na coś, co i tak się spełni?

– Czyli co, po prostu nas wkręcałeś? – Amichaj zmarkotniał.

Dla kogoś takiego jak on, skazanego na Ilanę Płaczkę, myśl o marzeniu, w którym pojawiło się dwieście osiem kobiet, musiała być elektryzująca.

– Oczywiście – roześmiał się z kolei Churchill i przeczytał życzenie z listy: – „Podczas następnych mistrzostw chcę mieć na koncie prowadzoną przez siebie ważną sprawę. W jakiejś ważnej dziedzinie. Chcę zaangażować się w coś, co doprowadzi do dużej przemiany społecznej”.

Ofir i Amichaj pokiwali z uznaniem głowami, a ja pomyślałem, że trochę będzie wstyd czytać na głos któreś ze swoich życzeń po tym, co właśnie powiedział Churchill.

<sup>\*</sup> *Jalla* (arab.) – okrzyk zachęty: „Już! Dalej!” (przyp. tłum.).



– Twoja kolej – zwrócił się do mnie Amichaj. Spojrzałem na kartkę i pocieszyłem się, że przynajmniej nie muszę czytać wszystkich trzech.

– „Podczas następnych mistrzostw chcę dalej być z Ja’arą” – przeczytałem niemal szeptem.

Zgodnie z przewidywaniami wszyscy się na mnie rzucili:

– *Jalla, jalla*, ta twoja Ja’ara nawet nie istnieje – zaczął Ofir.

– Dopóki jej nie poznamy, życzenie jest nieważne – dorzucił Churchill opinię prawnika.

– Pewnie jest taka brzydka, że wstydzisz się ją pokazać. – Ofir uważnie patrzył, czy się zdenerwuję.

– Ma zeza i krzywe nogi – drażnił się Amichaj.

– I dupę jak lądowisko dla helikopterów.

– Cycki do kolan.

– Ręce drwała.

– Pewnie to facet, który zmienił płęć. Przedtem nazywał się Ja’ar.

– Okay, poddaję się – powiedziałem. – Zapraszam was we wtorek do mnie, to ją poznacie.

Ale już w poniedziałek odłożyłem spotkanie o kolejny tydzień, bo byłem chory, a potem znów przesunąłem termin, bo byliśmy zaproszeni na obiad do jej rodziców w Rechowot, a w końcu sama Ja’ara położyła kres temu ciągłemu odkładaniu, mówiąc półżartem:

– Zaczynam podejrzewać, że się mnie wstydzisz.

– Nie wygłupiaj się – odpowiedziałem.

– No to czemu nie chcesz mnie przedstawić kumplom?

– Bez konkretnego powodu. Po prostu nie było okazji.

Na co ona:

– Koniecznie chcę ich poznać. Tyle o nich mówisz.

– Nie zauważyłem.

– Praktycznie w każdym zdaniu. A w pokoju masz pełno zdjęć z nimi. Nieostrych, ale jednak. Co pięć minut któryś do ciebie dzwoni i godzinami rozmawiacie. Nie tak po męsku, konkretnie i praktycznie, to są prawdziwe, poważne rozmowy. Zdaje mi się, że łączy was bardzo silna więź, prawda?

– Nie wiem. Czasem też mi się tak zdaje. Że to coś na całe życie. W zeszłym roku pojechaliśmy wszyscy na obchody Dnia Pamięci do szkoły, do której chodziliśmy, i zobaczyłem, że wszystkie paczki przyjaciół z naszego rocznika się rozpadły. Kiedy wyla syrena, tylko my czterej staliśmy razem obok siebie. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia dlaczego. Może to siła bezwładności, może co innego, ale nawet teraz, po ośmiu latach w Tel Awiwie, ciągle czujemy, że jesteśmy razem. Ale czasem nie rozumiem, co nas łączy, nie widzę wytłumaczenia. A może to tak już jest z przyjaźnią: przypomina taniec polegający na ciągłym zbliżaniu się i oddalaniu. Jak myślisz?

– Cóż za frapująca analiza. Nie zmieniaj tematu. We wtorek zapraszamy ich na obiad – powiedziała łagodnie i zdjęła okulary.

– Dobrze – odrzekłem, bo jak tu powiedzieć „nie” tym zielonym oczom. Zresztą nie umiałem znaleźć żadnego powodu, by nie zapraszać kumpli, z wyjątkiem niejasnego przecucia, że cała historia skończy się płaczem, ale złożyłem to na karb swojego wiecznego pesymizmu.

Kolacja okazała się spektakularnym sukcesem. Wszyscy trzej dosłownie w sekundę pożarli faszerowane warzywa, które przyrządziliśmy, a Ja’ara bez trudu znalazła wspólny język z każdym z chłopaków. Razem z Ofirem wyśmiewała się z całego świata marketingu (okazało się, że kiedyś pracowała jako asystentka producenta przy reklamie proszku do prania). Dyskutowała z Churchilllem na temat pobłażliwości prokuratury wobec osób publicznych. Opowiedziała Amichajowi o akupunkturze, która wyleczyła ją – ku zaskoczeniu lekarzy – z mononukleozy. I cały czas mnie dotykała, głaskała po

karku, kładła swoją dłoń na mojej, a dwa razy nawet pocałowała mnie delikatnie w szyję, jak gdyby nagle wyczuła to, co przez te wszystkie miesiące bycia z nią starałem się ukryć: że tak bardzo boję się ją stracić. Że nigdy przedtem w moim życiu nie pojawiło się nic tak ważnego jak nasz związek.

– No i? – spytałem, gdy tylko sobie poszli i jeszcze słyszeliśmy ich kroki na podwórku.

– Są cudowni – powiedziała Ja'ara i objęła mnie.

– W jakim sensie? – chciałem wiedzieć. Zacząłem zmywać naczynia. Na talerzach zostało jeszcze trochę szczątków warzyw, z których wydlubano nadzienie.

– Ten Ofir jest taki wrażliwy – dobiegł mnie z tyłu jej głos. – Od kiedy jest w branży reklamowej? Sześć lat? Nie jest łatwo pozostać sobą w tym cynicznym świecie. A ten drugi, Amichaj, ma tyle cierpliwości. Myślę, że naprawdę powinien zostać terapeutą. I wszyscy trzej chyba bardzo cię kochają – rzekła, przytulając się do moich pleców. – Więc jak widać, mam z nimi coś wspólnego.

– A Churchill? – Gdy zadałem to pytanie, poczułem, jak jej uścisk słabnie i ręce opadają wzdłuż ciała.

– Inteligentny facet – odpowiedziała z wahaniem.

– Ale...? – Odwróciłem się i spojrzałem jej w oczy. Ręce miałem wciąż całe w pianie.

– Nie ma żadnego „ale”. – Odsunęła się nieznacznie.

– W tonie twojego głosu było „ale” – nalegałem.

– Nieważne, nie powinno się oceniać kogoś po jednym spotkaniu.

Wiedziałem, że ma rację. O wiele łatwiej przykleić komuś etykietkę, niż powiedzieć sobie, że może ten ktoś jest bardziej skomplikowany, gdyby się uważniej przypatrzeć. Ale i tak chciałem wiedzieć.

– No, powiedz – naciskałem dalej. – Znam go tyle lat, że nie potrafię sobie wyobrazić, jaki może się wydawać na pierwszy rzut oka.

– Szczerze mówiąc, wygląda na zarozumiałego. Jak gdyby patrzył na waszą trójkę z łoża dla VIP-ów. Nie podoba mi się to. No i sposób, w jaki mówi o kobietach. Zauważyłeś, że kiedy wypowiadał się o politykach mężczyznach, za każdym razem używał słów „minister”, „burmistrz”, a jak o kobietach, to zawsze: „ten ptasi mózdzek” albo „ten blondasek”?

– Może i tak – odrzekłem chłodno. Chociaż sam o to prosiłem, teraz poczułem złość, że Ja'arze tak łatwo przyszło krytykować mojego przyjaciela. – Ale szkoda, że nie wiesz, jaką jest wspaniałą osobą – zaatakowałem ją. – Kiedy skończył studia prawnicze, miał oferty pracy z prywatnych kancelarii, oferowali mu bardzo przyzwoite pieniądze, ale wolał iść do prokuratury, bo uważał, że tam będzie mógł się zająć czymś wartościowym. A parę tygodni temu, podczas finału mistrzostw, każdy z nas napisał na kartce, co chciałby robić za cztery lata. Wszyscy mieliśmy jakieś egoistyczne życzenia i tylko on napisał, że chce robić coś ważnego, zmieniać izraelskie społeczeństwo, więc może... może powinnaś się trochę zastanowić, nim ocenisz jego zachowanie.

– A ty co napisałeś? – Oczy Ja'ary błysnęły uwodzicielsko zza okularów. Po raz pierwszy od początku naszego związku byłem na nią zły i, co dziwne, najwyraźniej jej się to podobało.

– Tajemnica. – Starąłem się, żeby mój głos zabrzmiał zimno. – Jeśli chcesz wiedzieć, musisz wytrzymać ze mną do następnych mistrzostw, bo wtedy wyciągniemy kartki i odczytamy nasze życzenia.

– Nie ma sprawy. – Ja'ara przywarła do mnie i wsadziła swoje dłonie w tylne kieszenie moich dżinsów. – Nie odstraszyś romantycznej dziewczyny miłością.

Dwa tygodnie później była z nim.